

Janusz Sławiński

Teksty i teksty

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1, 1-7

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Instytut
Badań
Literackich
i
Komitet
Nauk
o
Literaturze PAN

dwumiesięcznik 1, 1972

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

Teksty i teksty

Gdy powiadają nam o kimś, że żyje pośród „tekstów”, nie dostrzegając „świata”, nie musimy wcale tego kogoś poznać osobiście, aby mieć całkiem dokładny jego wizerunek. Stereotyp narzuca się nieodparcie: cherlawy okularnik, mól książkowy, którego naturalnym żywiołem jest kurz bibliotek i archiwów, nie-strudzony czytacz całą energię czerpiący z zapisanego papieru; nie-sprawny fizycznie i za nic mający swą cielesność, która puszczona samopas płata mu najróżniejsze figle; niezdolny do działań praktycznych: nie umiejący wbić gwoźdźca w ścianę, przyszyć guzika ani usmażyć jajecznicę; z wielkim trudem i niechęcią, wśród ciągłych konfliktów i narzekań wypełniający z mizernym skutkiem swe powinności jako pan domu, mąż czy ojciec. Nie jest to bynajmniej stereotyp mylący: stoi za nim empiria, co do której trudno mieć zastrzeżenia. Nikt odpowiedzialnie nie powie, że jest on nieprawdziwy. Gdyby nawet udało się wskazać długie listy przypadków przeczących temu stereotypowi — nie miałyby to większego znaczenia; demagogiczna elokwencja zdarzeń wyjątkowych jest zbyt dobrze znana, aby mogła kogoś wprowadzać w błąd. Nie kwestia więc prawdziwości stereotypu mobilizuje zastanowienie, lecz jego — jeśli tak rzec wolno — udramatyzowana struktura. Oto wielbiciela zapisanego papieru przeciwstawia się osobnikom spełniającym inne wzory personalne, zapewniające im lepszy kontakt ze „światem”: sportowcowi czy kulturyście, „złotej rączce”, przykładowej głowie rodziny. Reprezentują

oni w tym przeciwstawieniu stronę prawdziwego życia, gdy tamten porusza się między zastygłymi zapisami, będącymi tylko słabym odblaskiem jakiejś praktyki ludzkiej, znakową namiastką autentycznego przebywania w społeczeństwie i pośród rzeczy.

Czym jednak miałyby być to prawdziwe życie?

Dla sportowca byłaby nim mozolna praca nad własnym ciałem, mająca doprowadzić je do stanu, w którym osiągnęłoby standardy sprawności fizycznej i siły umożliwiające uprawianie jakiejś dyscypliny sportowej. Przez metodyczny i uporczywy trening zmusza się własne ciało do rezygnacji z jego indywidualnego „widzimisie” na rzecz pewnego ponadindywidualnego kanonu (motorycznego, posturalnego itp.), który powinno wypełnić, aby stać się ciałem klasyfikowalnym w określonym porządku znaczeniowym: ciałem piłkarza, skoczek, biegacza, boksera, sztangisty.

Z kolei prawdziwe życie „złotej rączki” miałyby polegać na ustawicznej gotowości do interweniowania w dookolny układ rzeczy, ilekroć nastąpi w nim jakieś zakłócenie. Przynrząd zepsuty, urządzenie wadliwie funkcjonujące, wszelkie objawy niesprawności technicznej lub niekompletności rzeczy, którymi manipulujemy na co dzień, są dla „złotej rączki” wezwaniem do czynu. Swoimi pracami działa on przeciw naturalnemu uniepotrzebnianiu się przedmiotów, przywraca im (czy nadaje) funkcjonalność, ustawia na właściwym miejscu, poprawia i koordynuje. Czuwa nad tym, by rzecz użytkowana dorastała do swojej normy, która pozwala ją w określony sposób zaklasyfikować, a więc umocować w polu naszych doświadczeń. Przedmiot zepsuty lub nie dający się dopasować do innego przedmiotu wypada z klasyfikacji stosowanych przez użytkownika, łądując w nieklasyfikowalnej dziedzinie rupieci. „Złota rączka” to ten, który potrafi przywołać przedmiot do porządku, zmusić go, by zachował godziwą normę. Odgrywa on w swoim środowisku społecznym rolę strażnika chroniącego rzeczy podległe klasyfikacji przed ześlizgnięciem się w bezład nieużyteczności.

A prawdziwe życie wzorowej głowy rodziny? Określa je wprawdzie więcej współrzędnych, ale i tu zapewne można by zarysować jakąś jednolitą sytuację modelową. Ktoś, kto w rolę taką z upodobaniem wchodzi, podejmuje zadania z zakresu mikroinżynierii społecznej. Jego działania mają — najogólniej mówiąc — zapewnić spójność i pomyślnie funkcjonowanie organizmu rodzinnego; nie tylko zabezpieczać materialny poziom tego funkcjonowania, ale — co istotniejsze — kształtować jego swoisty styl, tak czy inaczej odniesiony do

społecznie uznawanego wzoru „dobrej rodziny”. Głowa rodziny realizuje swymi codziennymi krzátaniami i zabiegami pewien scenariusz, który jest mu w znacznym stopniu zadany przez tradycję zachowań, akceptowaną w jego otoczeniu. Scenariusz taki nie tylko postuluje jakieś działania, ale zarazem mniej lub bardziej stanowczo zaleca powstrzymanie się od innych. Zakreśla on przestrzeń zobowiązań osobnika: jako męża, ojca, zarządcy zgromadzonych w domu dóbr materialnych, reprezentanta interesów rodzinnych na zewnątrz — wobec innych instytucji. Być przykładną głową rodziny to tyle, co wpisywać swoją aktywność w ramy owego scenariusza.

Łatwo spostrzec, ku czemu zmierzają zdania wyżej napisane. Mają one podprowadzić do myśli, co nie nowa wprowadzie, ale wciąż jeszcze warta przypomnienia. Formułując ją na użytek wprowadzonego przykładu możliwie najbardziej wprost, bez cieniowań i zastrzeżeń, powiem, że życie sportowca, „złotej rączki” czy głowy rodziny jest w nie mniejszym stopniu zdeterminowane przez teksty, co życie pożeracza książek. Tylko, że ich teksty nie ze słów i zdań są budowane, lecz ze znaków innego rodzaju. W przypadku sportowca charakter tekstowy ma jego własne ciało, formowane zgodnie z wymogami jakiegoś mniej lub bardziej wyspecjalizowanego kanonu cielesności sportowej. W przypadku „złotej rączki” tekstami są urządzenia, które potrafi on skłonić do prawidłowego funkcjonowania, sprzęty, które umie dopasować do przewidzianych dla nich zadań i pozycji w otoczeniu przedmiotowym. Dla głowy rodziny tekstami będą wszelkie sytuacje życia rodzinnego, które ma ukształtować zgodnie z dyrektywami stylu obowiązującego je w danych okolicznościach socjalno-obyczajowych. W praktyce każdego z nich pojawia się analogiczny problem: muszą oni przekształcać coś chaotycznego, a więc nierozpoznawalnego w swoim charakterze, w coś czytelne go, tłumaczącego swoje istnienie w kategoriach „użyteczności”, „sensowności”, „stosowności” etc. Przekształcenie takie jest o tyle możliwe, o ile istnieją odpowiednie wzory układów czytelnych, ugruntowane w zbiorowej świadomości. Rzecz, sytuacja czy zachowanie — zrelatywizowane do wzoru, podpadają pod jakąś klasyfikację, włączają się w zbiory analogicznych rzeczy, sytuacji czy zachowań. Stają się dzięki temu zjawiskami semiotycznymi: nie tylko są, ale na dodatek znaczą, odsyłając do właściwych systemów klasyfikacyjnych.

Pojęcie tekstu należy do kluczowych pojęć współczesnej refleksji humanistycznej. Użytkowane w rozlicznych dyscyplinach wiedzy

o kulturze, zyskało dziś sens uniwersalny. Mówi się nie tylko o tekstach słownych (co rozumiałe), ale także o tekstach behawioralnych, tekstach obrzędów, tekstach pikturalnych i in. Kulturę rozważa się jako nagromadzenie najprzeróżniejszych tekstów, a zarazem jako zbiór systemów generujących teksty („języków”). Chodzi o dwa jej komplementarne oblicza: jedno odpowiada dziedzinie wytworów, drugie — mechanizmom umożliwiającym ich produkowanie. W podejściu takim upatruje się szansę dla integracji prac podejmowanych przez rozmaite gałęzie wiedzy o kulturze. Skoro jesteśmy w stanie określić *genus proximum* obejmujące łącznie obiekty zainteresowań różnych dyscyplin — potrafimy tym samym zabezpieczyć wzajemną przekładalność ich swoistych problemów, a zarazem oprzeć na jednolitych podstawach zasady systematyzacji ich rezultatów badawczych. Przy takim sformułowaniu sprawy akcent pada na metodologiczny sens tezy o kulturze jako magazynie tekstów; na fakt, że pozwala ona różnym dziedzinom wiedzy osiągać wyniki nawzajem porównywalne. A przecież teza ta działa w nie mniejszym stopniu swoją ontologiczną zawartością. Narzuca określoną wizję mechanizmów kultury, orzeka, czym ta jest w swojej „istocie”, zmusza do odpowiedzi na pytania o charakter związków między różnymi typami tekstów, o sposoby ich współpracy, zakresy występowania itp. Ma poza tym implikacje pedagogiczne, których nie sposób nie doceniać. Sprzyja kształtowaniu wrażliwości na różnorakie analogie i izomorfizmy występujące wśród wytworów kultury, szkoli „wyobraźnię znakową”, która pozwala dostrzegać poza pstrokatą przesłoną zróżnicowanych przejawów kulturowych — ich elementarną wspólnotę. Uczy więc określonego obcowania z kulturą.

Teza owa zadomowiła się w dzisiejszej myśli humanistycznej w rezultacie niezmiernie dynamicznego — zwłaszcza w latach ostatnich — rozwoju tendencji semiologicznych, jednoczących sfery problemowe dyscyplin tradycyjnie niezależnych. Dobrze wiadomo, że największą rolę w tym względzie odegrały doświadczenia lingwistyki. Nie tylko dlatego, że semiologię jako ogólną naukę o funkcjonowaniu znaków w społeczeństwie postulował Ferdinand de Saussure, od którego biorą początek najbardziej wpływowe nurty nowoczesnego językoznawstwa. Główną przyczyną był fakt, że wypracowane przez lingwistykę posaussure’owską — czyli tzw. lingwistykę strukturalną — metody analizy systemu językowego i wypowiedzi okazały się wysoce atrakcyjne jako wzór postępowania dla dyscyplin mających do czynienia z najróżniejszymi typami aktywności kulturalnej — ję-

zykowymi i pozajęzykowymi. W pierwszej kolejności — co zrozumiałe — z podniet tych skorzystała nauka o literaturze (ściślej biorąc: poetyka). Znaczenie wysiłku badawczego przedstawiciele praskiego strukturalizmu z lat trzydziestych i czterdziestych (przede wszystkim Romana Jakobsona i Jana Mukařovskiego) jest w tym zakresie dobrze znane. Ale w ślad za literaturoznawstwem — a w dużej mierze równoległe z nim — do wzorów lingwistycznych zaczęto się odwoływać na gruncie czechosłowackim również w dociekaniach nad innymi dziedzinami sztuki — malarstwem, teatrem, filmem. Wzory te inspirowały także poszukiwania w zakresie folklorystyki, żeby wymienić tylko pionierskie prace Piotra Bogatyriewa poświęcone funkcjom stroju ludowego i teatrowi ludowemu. Już po wojnie program metodologiczny i pojęcia lingwistyki strukturalnej zostały przyswojone dla potrzeb etnologii przez C. Lévi-Straussa, dzięki któremu rozprzestrzeniły się szeroko w naukach społecznych. Okres najbardziej pomyślny koniunktury dla prądu lingwistyczno-semiologicznego rozpoczął się w latach sześćdziesiątych. Ukształtowały się wtedy dwa zasadnicze ośrodki myśli badawczej: radziecki (m. in. J. Lotman, B. Uspienski, W. Iwanow, N. Toporow) i francuski (m. in. R. Barthes, A. J. Greimas, T. Todorov, J. Kristeva) — o bardzo rozległych obszarach oddziaływania; powstały specjalne publikacje serijne i czasopisma (m. in. „Trudy po znakovym sistemam”, „Communications”, „Semiotica”); co najważniejsze jednak: rozpowszechniła się moda na semiologię. Dzięki modzie właśnie — moda jest jednak zawsze odpowiedzią na jakieś istotne zapotrzebowanie — język rzeczników tego prądu szybko przeniknął zarówno w obręb języków poszczególnych dyscyplin humanistycznych, jak też do codziennej mowy krytyki artystycznej, popularyzacji wiedzy i dydaktyki. Określił nie tylko nowy sposób naukowego rozprawiania o zjawiskach kultury, ale też wyrazisty i zaraźliwy styl gadaniny literackiej, który w pewnym czasie zdominował inne konkurencyjne style.

Najbardziej zwracającą uwagę cechą dążeń, które określamy tu jako prąd semiologiczny, jest działanie na bardzo szerokim froncie: wciągnięcie w pole zainteresowań niezmiernie bogatego repertuaru *tekstów kultury*. Znajdują się w nim: literatura (w jej rozmaitych odmianach), mit, ideologia, wierzenia, ale także rytuały, widowiska, obrazy, etykieta, gry i zabawy, moda, systemy kulinarne, sygnalizacja drogowa, zespoły zachowań związane z rolami społecznymi osobnika, techniki erotyczne, formy organizacji przestrzeni. Nie sposób oczywiście wyczerpać listy penetrowanych zjawisk. Zresztą roz-

szerza się ona bez przerwy, jako że ambicje interpretacyjne semiologów są bezgraniczne. Maszynki raz puszczonej w ruch nie sposób już zatrzymać: nie ustanie, dopóki w s z y s t k i e g o nie przemiele na tekst.

Nie nastąpi to jednak wcześniej, zanim nie ulegnie renowacji ta część jej mechanizmu, która — widać to coraz wyraźniej — wprowadza zakłócenia w pracy. Paradoksalnie, czynnikiem utrudniającym postęp problematyki semiologicznej okazuje się główny dotąd stymulator jej rozwoju: lingwistyka. Pełne entuzjazmu i bezkrytyczne użytkowanie pojęć językoznawczych doprowadzić musiało do rozpowszechnienia się ewidentnie niesłusznej — choć sugestywnej — supozycji o językopodobnym charakterze wszelkich tekstów kultury. Wprawdzie supozycja taka wprowadza ład w realność zagnatwaną i wielokształtną, ale nie każdy ład jest poznawczo efektywny. Tłumaczenie różnorodności nie może polegać na jej unicestwieniu. Wyjaśnianie przez analogię bywa produktywnie na krótką metę. Początkowo dynamizuje ono myśl, otwiera szanse dla nowych konceptów interpretacyjnych, ale stosunkowo szybko przemienia się w wysiłek mechaniczny i jałowy. Groźba ta zawisła nad dzisiejszą refleksją semiologiczną. Znajduje się ona w punkcie zwrotnym: musi rozliczyć się z czymś, co ją dotychczas inspirowało, aby swobodnie pójść dalej. Oczywiście, jakkolwiek będzie wyglądać to rozliczenie, nie podważy ono centralnej pozycji lingwistyki w domenie semiologicznej. Język werbalny jest systemem znakowym o najbardziej skomplikowanej ze wszystkich architektonice formalnej i znaczeniowej, zdolnym do podejmowania praktycznie nieograniczonych zadań w życiu społecznym. Teksty w nim formułowane są nośnikami, dopełnieniami lub koordynatorami wielu innych tekstów, za których pośrednictwem uobecnia się nam świat. Stawia to — rzecz prosta — lingwistykę w sytuacji uprzywilejowanej wśród dyscyplin zainteresowanych znakami i procesami komunikacji. Ale uznanie jej ośrodkowej pozycji, a zgoda na redukcję całej problematyki semiotycznej do lingwistyki — to dwie różne sprawy. Rozrachunek, o którym mowa, dotyczy tylko drugiej z nich.

Powróćmy na koniec — aby wymogom kompozycji stało się zadość — do wyjściowego przykładu. Wiemy, że udramatyzowany stereotyp filologa (bo tak go chyba można nazwać) jest o tyle nietrafny, że nie uwzględnia możliwości poruszania się wśród tekstów kultury innych niż językowe. Pozostaje jednak faktem, że nasz filolog nie potrafi poruszać się w rejonach działań sportowca, „złotej rączki” czy głowy

rodziny. Ich tekstów nie jest on w stanie osiągnąć swymi umiejętnościami. I właśnie chyba dlatego reprezentują one w stereotypie stronę nagiego życia. To bowiem skłonni jesteśmy lokować zawsze tam, gdzie trudno nam byłoby działać cokolwiek w ramach obowiązujących standardów, gdzie nie potrafimy rozumieć ani produkować właściwych tekstów. Są to obszary osobniczej lub grupowej indolencji, czasem także fantasmagoryjnych aspiracji i tęsknot. Dla mieszczucha życiem prawdziwym będą rolnicze prace i dnie, dla pokornego pantoflarza — scenariusz poczynań Casanovy, dla zasiedziałego biuralisty — wzory zachowań bohaterów westernu. Autentyczne życie to cudze teksty mnie — jako teksty — niedostępne.

Janusz Sławiński